№ 1.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

* * *

Dwojakiego rodzaju perjodyczne publikacje rozwijają się na galicyjskim gruncie: prasa codzienna i pisma fachowe, jako organa towarzystw. Niewdzięcznym natomiast i jałowym bywa ten grunt dla pism, mających zadanie odźwierciadlać i rozbudzać ruch umysłowy. Krótkim był żywot zasłużonych i głośnych, jak *Dziennik Literacki* i *Tydzień;* tem szybszem — zamieranie pism, które już w zarodzie nie posiadały warunków żywotności. O kilku pismach literackich, które istnieją, powiedzieć można, że ich wspólnem znamieniem jest cicha rezygnacja z poczytności.

Wobec tego cięży na prasie codziennej obowiązek zaznajamiania licznych stosunkowo czytelników z ważniejszymi objawami na niwie literatury i zasilania w ten sposób społeczeństwa karmią duchową, bez której obniża się nietylko poziom umysłowości, ale i życia politycznego. I obowiązek ten pisma codzienne niewątpliwie spełniają. Jeśli nie w należytej mierze, to trzeba uwzględnić, że już sama technika redakcyjna zakreśla tu ciasne granice. Dziennik musi odźwierciadlać bieżącą chwilę, a fale codziennych wydarzeń mkną z szybkością, która częstokroć nie pozostawia ani czasu, ani miejsca na zgłębianie wszystkiego, co się pod powierzchnią fal tych mieści.

To też nic nie zastąpi pism, wyłącznie literaturze poświęconych, jeżeli są poczytne. One tylko mogą systematycznie zeznajamiać z postępami myśli, budzić zamiłowanie do czytania, ożywiać ruch umysłowy, nawiązywać łączność z jego ogniskami, a niekiedy i stwarzać te ogniska.

Reformując nasz dodatek literacki, mamy na celu spełnianie jakiejś cząstki donioslego zadania. Świadomi jesteśmy i trudności i sposobu, w jaki będziemy ją przezwyciężać. Trudność — to przedewszystkiem szczupłe ramy naszego dodatku, zwłaszcza że beletrystyka i ulotne artykuły sporą część ich muszą wypełniać. Sposób zaś polega na tem, aby na szerokich widnokręgach wskazywać i uwydatniać stale to, co widzenia i uwagi godne. A zastrzedz się musimy przeciwko przypuszczeniu, że takie odróżnianie faktów ważnych od nieważnych jest czemś dowolnem i subjektywnem.

W rozwoju myśli ludzkiej największą wartość miały zawsze te fakty, pod wpływem których formowały się nowe pojęcia lub przeobrażały stare. W rozwoju polityczno-społecznym największą doniosłość mają i mieć będą takie fakty, od których zawisłym jest postęp, a w takich, jak nasze, warunkach — wielkie dzieło odrodzenia.

Bolesne rocznice.

Rozpamiętywanie posępnych momentów naszej historji — momentów, których skutki trwają do dnia dzisiejszego, budzi — obok cierpkiej boleści i żalu — świadomość narodową oraz poczucie konieczności zbiorowej, wytrwałej, ofiarnej pracy dla wydobycia się z przepaści, w którą — opierając się na własnych naszych winach — wtrąciła nas obca przemoc. Dlatego też rozpoczynamy rok nowy przypomnieniem najbardziej żałobnych dni żałobnego roku 1793. Ponure owe daty ryć się powinny w mózgach naszych i sercach obok radośnych, świadczących o niespożytej potędze moralnej i sile materjalnej narodu. Więc święcąc te ostatnie pieśnią i weselem, obchodźmy pierwsze skupieniem ducha, żalem, co się w czyn mężkiej energji przeradza, skruchą, co bywa poprawy przysięgą; obchodźmy — wierząc niezachwianie „w grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny!“

* * *

Datę 16 stycznia 1793 nosi nota pruskiego rezydenta Bucholza, oznajmująca o wnijściu do ziem wielkopolskich 15 tysięcy żołnierzy pruskich pod wodzą jenerała Möllendorfa. Wojsko polskie, otrzymawszy rozkaz cofania się w głąb kraju, nie stawiło oporu nieprzyjacielowi.

Dnia 23 stycznia zawarty został formalny traktat między Rosją a Prusami o nowy podział Polski.

Dnia 31 stycznia wkroczyło wojsko pruskie do Poznania i zatoczyło działa na placе. Wkrótce potem zajmują Prusacy inne miasta, jak: Częstochowę, Gdańsk i t. p.

Dnia 10 lutego przybywa do Warszawy Siewers w celu zmuszenia króla do zwołania sejmu dla zatwierdzenia zaborów moskiewskiego i pruskiego.

Dnia 21 marca ogłoszono patent okupacyjny pruski na pół po niemiecku, pół po polsku. Komisarze jeździli po miastach i wioskach i przybijali ogłoszenia na słupach, w rynkach, stawiąc orły pruskie.

Dnia 4 kwietnia król pod naciskiem Siewersa opuszcza Warszawę, udając się do Grodna na ostatni sejm polskiej Rzeczpospolitej.

Dzień 3 maja, sławną rocznicę konstytucji, Siewers wyznacza z wyrachowanem szyderstwem do składania przysiąg carowej i zmusza w tym dniu króla do podpisania uniwersału, powołującego na sejmiki przedsejmowe.

Dnia 7 maja naznaczono składanie przysiąg i homagium Prusakom w Wielkopolsce.

Ukazem z dnia 17 maja zatwierdza cesarzowa Katarzyna wcielenie całej dywizji Lubowidzkiego do armji rosyjskiej. Po odtrąceniu wielu oficerów, towarzyszów i gemeinów, którzy „nie chcąc przez obcą moc nakazywanej wykonać przysięgi, wrócili do kraju“ — ogół zajętych w kordon rosyjski i zmuszonych do przejścia pod komendę rosyjską korpusów z wojska koronnego i litewskiego wynosił przeszło 20 tysięcy.

Dnia 27 maja zwołano sejmiki, z których wyłączeni zostali dekretem Konfederacji Targowickiej ci wszyscy, co nie uczynili akcesu, co się wpisali w księgi miejskie, należeli do deputacji dziękczynnej za konstytucję 3 maja, albo połączywszy się z Targowicą, przeciw niej protestowali. Wyborami kierowali zdrajcy, przekupieni przez Siewersa. Odbywały się one przy pomocy wojska oraz pruskich i rosyjskich pieniędzy.

Dnia 17 czerwca nastąpiło otwarcie sejmu grodzieńskiego. Marszałkiem obrano pod przymusem ze strony Siewersa Bielińskiego, cześnika koronnego. Bieliński, nędzny i ograniczony człowiek, gracz namiętny i hulaka pozostawał na żołdzie Siewersa, który mu dał przed sejmem 2.200 dukatów, a później wypłacał miesięcznie po 500 dukatów do ręki, a drugie 500 dawał zaufanemu człowiekowi na utrzymanie pana marszałka.

Dnia 19 czerwca Siewers używa siły zbrojnej dla zatrzymania w domu podczas sesji sejmowej pięciu najgorliwszym duchem patrjotycznym ożywionych posłów i — jako widomą groźbę dla sejmu — ustawia pułk jazdy pod miastem oraz bataljon strzelców przy zamku.

Dnia 17 lipca po burzliwych dyskusjach, wrzawie i sporach, które przeciągnęły się do północy, sejm uchwalił wniosek Łobarzewskiego, który, jak mówiono, psu oczy sprzedał i za grube pieniądze pełnił funkcję wnioskodawcy — wniosek, upoważniający deputację do podpisania traktatu z Rosją, czyli — innemi słowy — do zgodzenia się na jej zabor.

Dnia 17 sierpnia po gwałtownych scenach, długich a namiętnych rozprawach, które trwały do świtu następnego dnia ratyfikacja traktatu z Rosją została zatwierdzona 63 głosami przeciw 21.

Na posiedzeniu z dnia 2 września Siewers usiłuje złamać przemocą i gwałtem opozycję w sejmie, nie zgadzającą się na podpisanie traktatu z Prusami. Miasto i zamek otoczono wojskiem, mieszkańców zatrzymano po domach. Dwa bataljony grenadjerów z 4 działami, przy których stali kanonjerowie z zapalonymi lontami, uszykowano w podwórzu zamkowem. Pikieta z 12 oficerów rosyjskich złożona weszła do izby sejmowej, pod oknami stanęli grenadjerowie. Wśród tak niezwykłych okoliczności sejm miał załatwiać sprawę traktatu z Prusami. Po dwunastogodzinnej wrzawie, podczas której przychodziło do czynnego starcia przeciwnych stron, przyjęto nie wniosek przekupionego zdrajcy Podhorskiego, lecz poprawiony przez Szydłowskiego, a zawierający zarazem manifest przeciwko gwałtowi.

Na posiedzeniu z końca września pod osłoną bagnetów i dział odczytano w sali sejmowej projekt traktatu z Prusami. Posłowie opozycyjni, z których Siewers kazał tegoż dnia czterech uwięzić i wywieść z Grodna — po wyczerpaniu wszelkich środków obrony kraju przed hańbą, uciekli się do ostatniej manifestacji, jaka im pozostawała: umilkli na raz wszyscy.

Wśród grobowego milczenia odczytano projekt, a po nim wniosek, aby delegacja podpisała traktat z Prusami. Na trzykrotne zapytanie marszałka Bielińskiego, czy zgadzają się stany sejmujące na wniosek, odpowiedzią było głuche milczenie. „A więc zgoda! — zawołał marszałek — jednomyślnie!“ Nad ranem król zamknął to „nieme“ posiedzenie.

Dnia 14 października przeszedł przekupionymi głosami — pomimo gwałtownego protestu szlachetnej opozycji — projekt aljansu z Rosją, oddający ostatni, okaleczony skrawek dawnej Rzeczpospolitej w moc sąsiada.

Dnia 24 listopada został zamknięty ów sejm pamiętny, zwany przez patrjotów „zgonem ojczyzny“. Ale naród w zgon nie uwierzył, bo czuł w sobie siłę do dalszej walki, a sejmu i uchwał nie uznając, zmył jego hańbę pełnem sławy powstaniem Kościuszkowskiem, pierwszą w naszym kraju rewolucją, która wedle tradycji — przybijała nabój szpargałami sejmowemi.

Zestawiła *M. W.*

Młodzież i społeczeństwo.*)

Cele i zadania młodzieży uniwersyteckiej poruszano już nieraz w prasie naszej. Ostatni raz za

*) Artykuły nasze o młodzieży wzbudziły zainteresowanie w kołach zajmujących się jej sprawami. Now

wrzała w tej sprawie zacięta polemika w prasie warszawskiej w latach 1887—8—9; wówczas starły się z sobą na łamach kilku pism wszystkie poglądy panujące w tej mierze — z rezultatem niewyczerpującym wcale, ile że żandarmski system cenzury odjął dyskutantom możność poruszenia najważniejszych momentów z życia i celów młodzieży — polskiej. Kwestja pozostała otwartą i nadal, mimo tego, że ruch młodzieży w latach ostatnich rozbudzał wrzawę dziennikarską niejednokrotnie od tego czasu, bo sprawę przedstawiała prasa zwykle namiętnie i powierzchownie, a nie z zasadniczej strony.

Niedawno odbyty jubileusz Czytelni akademickiej we Lwowie, zamanifestował dążenia obecnej młodzieży w sposób tak uderzający, że wśród tutejszej prasy *(Kurjer Lwowski)* odezwał się głos protestu i oburzenia przeciw skostnieniu i bezwładności tej młodzieży, przeciw zaszlamieniu łożyska jej duchowego, ideowego życia.

W tej sprawie chcieliśmy głos zabrać. Co ma robić młodzież? dokąd dążyć? w co wierzyć? Pytania te sformułowane zasadniczo, dadzą się tak wyrazić: Czy młodzież ma tylko uczyć się, czy też brać równocześnie udział w życiu publicznem i jaki udział? Dręczące te pytania kołatają się ustawicznie w umysłach młodzieży; zastanawiała się ona nieraz sama nad niemi, czasem zwracała się z niemi do opinji starszych; od czasu do czasu jakieś jej pokolenie obdarzone przypadkowo żywszym temperamentem, szukało w dręczącej męce niepokoju odpowiedzi na te pytania i znajdywało wreszcie samo tę odpowiedź, często szlachetną, ale zawsze niewystarczającą. A i z zewnątrz odpowiedzi wystarczającej dotąd nie dostała młodzież; ani ona sama dróg właściwych dla siebie nie znalazła, ani jej tychże nie umiano wskazać zkądinąd.

Położenie młodzieży u nas jest wyjątkowe. Na zachodzie, we Francji, Anglji, Niemczech nie bierze ona całkiem udziału w życiu publicznem, bo nie potrzebuje i jej nikt nie potrzebuje; tam jej celem i zadaniem całem jest — kształcić się zawodowo. Czeska młodzież, stawiana często za wzór, znaczenie swe w życiu publicznem zawdzięcza czynnikom u nas nieistniejącym. W zdemokratyzowanej i szczupłej liczebnie inteligencji narodowej czeskiej, młodzież już na ławach uniwersyteckich staje się integralną częścią tej inteligencji i przed ukończeniem studjów już działać razem z nią musi. Przytem, wyszła ona cała tylko z mas ludowych i drobnomieszczańskich, związaną jest z niemi przez całe życie węzłami familijnymi, towarzyskimi i klasowymi, wraca gęsto po studjach na wieś i prowincję, i tworzy z temi masami jedną klasę, jedną partję polityczną.

U nas zróżniczkowanie klas i warstw większe i wybitniejsze niż u Czechów. Młodzież rekrutuje się z wszystkich klas i warstw, liczniej zawsze z klas górnych, niż z leżących na dnie społeczeństwa, dzięki strasznej nędzy to dno toczącej. Po wejściu tej młodzieży na uniwersytet, nasze wyjątkowe warunki polityczne i społeczne, nie pozwalają jej pozostać grupą ludzi zasklepionych w zawodowem „kuciu", głuchych i niemych na odgłosy i zjawiska zewnętrznego świata, jakto ma miejsce na zachodzie.

Jakiż zatem ma być udział tej młodzieży w życiu społeczeństwa?

Społeczeństwo żąda od niej samo tego udziału, zestawiając swe żądania w pstrej mozaice. Z jednej strony „patrzy ono na nią bacznie", wzywa ją do ścisłej pracy i nauki w myśl odwiecznego frazesu, że „młodzież — to przyszli obywatele, przyszłość narodu" — z drugiej strony oburza się ono, gdy ta zagrzebie się w „kuciu", skostnieniu, apatji. Raz żąda od niej, aby w piersiach swych żywiła ten patrjotyzm, który gorzał w sercach filaretów, belwederczyków, podchorążych, innym razem daje jej organiczny przepis, aby z „młotem i kielnią w ręce szła oświecać masy proletarjatu miejskiego i wiejskiego".

W różnych czasach realizowała młodzież te żądania czynem, w zakresie swojej możności oczywiście. Obaczmy jak na tem wychodziła i co z nią zrobiono.

Dawniej, gdy pierwsze starały rewolucyjne nad Wisłą witane były przez wszystkie uciemiężone narody Europy jako zwiastuny wolności ludów, gdy patrjotyzm miał w sobie treść swą istotną, a jedyną: ideał swobody politycznej i społecznej — młodzież miała ten patrjotyzm w sercu i pierwsza, przed wszystkimi, szła dla niego na śmierć, z zapałem apostolstwa i męczeństwa. Później, gdy walka orężna ucichła wśród pożogi i ruiny, patrjotyzmowi dano treść inną — pracę organiczną; nowa forma patrjotyzmu dała w rezultacie przemysł niemiecko-żydowski, a coraz cięższa walka o byt przy programowem usunięciu dawnego ideału walki za niepodległość, zepchnęła społeczeństwo z jednej strony w karjerowiczostwo, systemy protekcyjne, apatję, z drugiej — w żebraninę polityczną u dworskich klamek Wiednia i Berlina, i w pogardę świata. Młodzież wychowuje się wśród tego nowego kultu patrjotycznego, który wszczepia w nią wszystkie swe konsekwencje ujemne, o ile ta młodzież jest „posłuszną starszym" i idzie zgodnie ze społeczeństwem. A wtedy tej posłusznej młodzieży, grzęznącej w karjerowiczostwie, myślącej jedynie o zdaniu egzaminów, o uzyskaniu stypendjów, o zapewnieniu sobie wygodnego życia pod skrzydłami protekcji i lojalności, rzuca się w twarz wyrzut: jesteście apatyczni, zwyrodniali, nie umiecie być młodymi, nie macie w sobie za-

---

szereg artykułów o stanowisku i zadaniach młodzieży rozpoczynamy niniejszą rozprawką, której autor w liście do nas wystosowanym, pisze te słowa:

„Niedawno jeszcze należałem do tej młodzieży, brałem żywy udział w jej ruchu, a ta okoliczność nie pozwala mi pozostać niemym w obec opinji, wyrażonej o młodzieży w *Kurjerze Lwowskim*. Starałem się kwestję młodzieży przedstawić zasadniczo i otworzyć dyskusję..."

pału i patrjotyzmu dawnych filare'ów i belwederczyków.

A jeśli ta młodzież przestanie być posłuszną? Jeśli zerwie wędzidła tego kultu i wychowania, jeśli poza książką i zabawą obaczy jeszcze coś dalszego, jakiś szerszy horyzont ideowy, niż oficjalne wierzenia społeczeństwa, jeśli z zapałem rzuci się na arenę działania publicznego?

Przykłady były już nieraz. Zrywała się do samodzielnego myślenia i działania, tworzyła swoje programy i partje. Punktem wyjścia była zawsze kwestja patrjotyzmu. Stary ideał rewolucyjny wydawał się jej, wobec dzisiejszych stosunków, niemożliwym do przywrócenia, obecny program za duszny, za ciasny, za upokarzający. Puszczała się na burzliwe fale krytyki obu tych programów, sama wytwarzała sobie programy nowe, usiłując z jednej strony oprzeć je na nowych prądach i potrzebach czasu, na rezultatach nauk społecznych — z drugiej strony zachować w nich to, co z starego politycznego ideału naszego ocalić było można. Tak powstała n. p. rewolucyjna partja ludowców, z Polską ludową, jako ideałem polityczno społecznym. Obok niej partje socjalistyczne rewolucyjne z programem wyzwolenia pracy i proletarjatu polskiego. Zawrzało wśród mas młodzieży, ścierały się burzliwie sprzeczne teorje programowe tych partyj, walka poglądów rozbudziła życie, rozszerzyła ideowy świat młodzieży. Ale wszystkie te partje, choć różne programami, zbliżał do siebie jeden wspólny interes i ideał — kwestja ludowa. Na ludowych masach oparły one swe marzenia: ludowej Polski z jednej, wszechwładztwa ludów z drugiej strony. Oba ruchy porwały z sobą całą młodzież polską, bez względu na kordony. Te walki ideowe i nowe hasła, nie przechodziły z kół młodzieży dalej, partje owe z ludem prawdziwym nie stykały się i nie szerzyły wśród niego swych przekonań, tylko wywalczały dla nich prawo obywatelstwa wśród opinji.

Jakąż postawę przybrało społeczeństwo wobec tych samodzielnych, ideowych ruchów młodzieży?

Z jadowitym sykiem, zgrozą i oburzeniem rzuciło się na wiec młodzieży lwowskiej przed 4-ma laty i na zaburzenia styczniowe młodzieży krakowskiej przed 3-ma laty, zaburzenia wywołane prześladowaniem ruchu ludowców i nowych polityczno-społecznych przekonań młodych obozów. Przyklasnęło wówczas to społeczeństwo władzom uniwersyteckim i politycznym, które podawszy sobie ręce, zgniotły ruch ludowy wśród młodzieży, użyciem wszystkich środków dyscyplinarnych, jakimi szkoła i państwo rozporządza: naganami, relegacjami, odbieraniem stypendjów, zamykaniem stowarzyszeń, konfiskatą pism, aresztowaniami studentów, procesami, wydalaniami z granic państwa, użyciem siły wojskowej — zaganiając sterroryzowany tłum studencki do książek i do „posłuszeństwa starszym".

Uczcie się! syczano na młodzież, a nie politykujcie i nie rebelizujcie!

Nietylko u nas zapędy „apatycznej, starej młodzieży" do działania publicznego spotkała taka dotykalna krytyka. I warszawska młodzież doznaje podobnego losu w swem niestrudzonem działaniu czy to dla narodowych, czy ludowych społecznych ideałów. Co roku rząd carski wybiera z tych cichych działaczy podatek krwi, co roku kilkudziesięciu młodzieży najdzielniejszej, najenergiczniejszej, pochłania cytadela i Sybir. Ale niema tam przerwy w działaniu rządu i działaniu młodzieży.

(D. n.)

Ze spuścizny po naszych wielkich.

Nieogłoszone listy S. Goszczyńskiego i W. Pola.

List do Stefana Buszczyńskiego, pisany przez Wincentego Pola, gdy obaj mieszkali w Krakowie, pierwszy, z córką przy ulicy Florjańskiej, drugi, z częścią swej rodziny przy ul. Szpitalnej.

Szanowny Panie Stefanie!

Zasady Dziejów Polskich Duchińskiego, Kijowianina, przesyłam Panu Dobr. podług obietnicy, a zarazem trzy pierwsze listy moje o *Historycznym obszarze Polski*, pisane do niego, mianowicie I., II. i III. list. — Właśnie w tej chwili odebrałem kurendę, wzywającą na sesję w przyszłą sobotę, w Towarzystwie Przyjaciół Oświaty, więc z pięknych projektów naszych na sobotę, nic nie będzie. Pocieszając się tem, że co się odwlecze, nie uciecze, łączę wyraz uszanowania i przyjaźni dla całego domu.

Kraków, 4. grudnia 1868 r. *Wincenty Pol.*

Drogi mój Stefanie!*)

Najmilszy list Pański odebrałem i od serca dziękuję za te wyrazy pełne życzliwości i polskiego ducha. Biorę go na gwiazdkę, bo okok tysiąca szarych kropel, któremi karty życia wycentkowane, jest jasna gwiazdka wyjątkiem rzadkim; zwłaszcza dla mnie, co nie widuję gwiazd bożych na nocnem niebie. Pana Kraszewskiego i kochanego naszego szweda, proszę pozdrowić serdecznie.**) Opis jego Szwecji czytają mi już po raz trzeci i kiedy się niema gdzie sercem zapędzić, pływam z nim razem po wodach Melaru i oglądam pomniki Stokholmu. Szczęśliwie bardzo widzę w tej pracy obok widoków natury i wśród nich wzniesione pomniki dziejów i nakreślone postacie historyczne. Zdaje się, jakoby żaden wielki człowiek nie zeszedł, tak tam wszystko żyje i oddycha tchem natury i dziejów. Gdyby trochę więcej prostoty w stylu, a wrażenie tego chłodnego świata północy byłoby i większe i żywsze.

---

*) Jest to odpowiedź Pola, przesłana Stefanowi Buszczyńskiemu mieszkającemu już w Dreznie.

**) Mowa tu o hr. Wawrzyńcu Benzelstiernie-Engelström, który wówczas mieszkał także w Dreznie.

Kamieniem cięży mi na sercu mojem to, co mi o Sewerynie Goszczyńskim piszesz. Cóż tu mówić o postępie, kiedyśmy tak bardzo upadli! Nie wiem co się z nim dzieje i gdzie obecnie przebywa; jak i coby tu radzić na to? Wskażcie mi jakąkolwiek drogę, a zrobię co uradzicie. Z Sewerynem nie łatwa sprawa; znasz ten surowy charakter — i staremu przyjacielowi nie łatwo tu przystąpić; — a przecież coś trzeba zrobić koniecznie, aby go sprowadzić do kraju. — Czekam przyszłego waszego listu z niepokojem, bo coś zrobić musimy, a nic głośnego robić nie można. W Krakowie wszystko tak jak było; z powodu prelekcji, których dwie miałem, jedną *O miłowaniach artystycznych czasu naszego*, drugą *O wykładzie literatury polskiej, stosownie do potrzeb czasu* — zetknąłem się znowu z publicznością większą i może być, że pierwsza z tych prelekcji nie zostanie bez skutku. W *Tygodniku Wielkopolskim*, który pan Olendzki redagować poczyna w Poznaniu, znajdziecie tę prelekcję umieszczoną.

Jesteśmy podobni do siewaczy, siejących ziarno na rozpalony trzon ogniska, lub na bieżącą wodę; co w ogień padnie, spłonie, — co woda uniesie, zamuli. — Nie ma środka: Bóg i sprawiedliwość Jego; — albo komuna i kamfina! Na tem stanęliśmy w końcu; a tu jak na przekorę, popychają do przepaści naród, — skryby, faryzeusze i uczeni pisma! Nie wiem nawet, czy Stańczyk miał kiedy żonę i zkąd poszło, że się Stańczykowa oszczeniła w Krakowie i że tylu Stańczyków z tego miotu staje w poprzek polskiego świata.

Ściskam Pana Dobrodzieja wraz z synem i oddaję się Jego nieoszacowanej pamięci.

Z Krakowa, 9. stycznia 1872 r.

Wincenty Pol.

Seweryn Goszczyński, przyjaciel Pola i towarzysz jego z walki w listopadowem powstaniu 1830 — 1831 r. zamieszkał jako wygnaniec w Paryżu, gdzie żył w bliskich stosunkach ze Stefanem Buszczyńskim, który tam także na mieszkanie przybył ze Szwajcarji w 1866 r. i namawiał go, aby przeniósł się do Galicji, gdy później sam osiadł w Krakowie od 1868 r. Goszczyński napisał do Buszczyńskiego list następujący:

Nareszcie... nareszcie mam odwagę stanąć przed tobą kochany Panie, choć w liście, z ufnością, że mi przebaczysz moja długą niecnotę. Ależ bo moja droga zawalona tylu przeszkodami różnego rodzaju: zdrowie, ciągle chromiące, praca pisarska, troski o chleb powszedni, codzienna walka z bieżącemi wiecznie a wiecznie potrzebami, to i nie dziw, że człowiek niedołężny, poczuje się często bez siły, bez tchu, opuści ręce, zwiesi nawet skrzydła ducha. Rzucajcie pierwszy kamień na takiego!...

Ale mówię to duszy, która łatwo ten stan zrozumie i dla tego na tem kończę.

Myślę bardzo często o Panu. Pani Zofja udziela mi każdą o Panu wiadomość, z'ąd wiem mniej więcej, jak Mu się tam życie toczy.*) Ostatnią razą czytałem nazwisko Pańskie w *Czasie* z powodu uroczystego przeniesienia zwłok Kazimierza Wgo. Sądząc z opisu, była to piękna chwila; obchód pełen powagi i smutku, jak przystoi naszej obecności, rzucającej wzrok na tę Polskę świetną za zasłoną pięciu wieków. Jest to dla mnie jakby jedna z iskier niby elektrycznych, które pryskają niekiedy z krainy ducha dla zapalenia dusz, zdolnych zapalić się. Oby i ten wypadek nie spełzł bezowocnie dla naszych pokoleń, bodajby nie przeszedł jak chwilowe uczczenie pamiątki martwej!

Cóż się robi z Pańskim poematem *Niewolnik?* Ja zawsze, jak przyrzekłem, jestem gotów do napisania przedmowy, winienem tylko z całą szczerością powiedzieć, że szczegóły treści zatarły się cokolwiek w mojej pamięci.

Jeżeli więc, Szanowny Panie Stefanie, trwasz przy tem cośmy ułożyli, racz mi przesłać treść w głównych zarysach, to mi dopomoże odbudować w pamięci rzecz całą, bez czego moja przedmowa mogłaby być gadaniną czczą i suchą.

Za dni kilka pójdzie w handel księgarski *Noc 29-go Listopada*, którą napisałem dla biblijoteki popularnej Mickiewicza.

Liczę na odpowiedź Pańską. A tymczasem proszę przyjąć najszczersze zapewnienie mojego poważania i miłości braterskiej.

Seweryn Goszczyński.

Śmiem polecić opiece Jego przyłączony tu list do Wincentego Pola i prosić, aby mu był wręczony.

Na zakończenie, pozostaje mi przeprosić kochanego Pana, że nie opłacam tego listu, bo w tych dniach moja kasa jest co się zowie e m i g r a n c k a.

19. lipca 1869 r.

Avenue du Bel-Air du frône. Paryż.**)

---

*) List ten pisany z Paryża do Krakowa.. Pani Zofja, o której wspomina Goszczyński, była to pani Zofja Węgierska, córka jenerała Kamińskiego, znakomita i wszechstronnie ukształcona literatka, zamieszkała oddawna w Paryżu, gdzie też umarła w 1869 r. W jej domu zbierali się co tydzień literaci, emigranci polscy.

**) Wymowny list! Maluje dosadnie okropne położenie Goszczyńskiego w Paryżu i innych emigrantów polskich. Buszczyński tem bardziej namawiał Seweryna Goszczyńskiego, aby przeniósł się do Galicji, lubo sam od r. 1871 zamieszkał w Dreznie. Opuściwszy Kraków, powierzył tę sprawę Polowi, którego prosił o opiekowanie się Goszczyńskim. Ale trudności były wielkie. W tym czasie bowiem, wyszła owa sławna *Teka Stańczyka* i pojawił się *List otwarty* Pawła Popiela, doradzającego *odtrącić od społeczności nawet tych, którzy powstaniu 1863 roku choćby myślą potakiwali.* (Dosłowne).

Szatan i światło.

Bóg stworzył światło... Szatan w złości uniesieniu
Rzucił Gniew — ale Gniew się przepalił w płomieniu.
Zatargał się duch czarny i z ogromną siłą
Zazdrość cisnął... i patrzał.. Światło się przymgliło...
Więc tryumfu swojego chcąc wydzwonić hasło,
Kazał rzucić się Pysze — i światło wnet zgasło.

Kazimierz Gliński.

MODUS IN REBUS.

Obrazek z życia wiejskiego
przez
ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

I.

Pan Piotr Wyszmoński, obywatel ziemski z pod Bochni, już przed trzydziestu pięciu laty był człowiekiem staroświeckim.

Na święto ubierał się w długi czarny surdut z obszernym i grubym kołnierzem, zawiązywał na szyję jedwabną czarną chustkę, sprawiająca wrażenie szerokiej a ciemnej obroży, z pod której wystawały mocno krochmalone, sztywne kołnierzyki; trzymana w takich karbach szyja nie mogła sobie pozwalać swobodnych ruchów. Nosił do tego spodnie wąskie z fartuszkiem na przodzie i na szerokich strzemiączkach. Włosy zaczesywał precz na skronie ku oczom, a nad czołem układał szczotką starannego czuba.

W dzień powszedni chodził w szaraczkowej czarno szamerowanej kurcie i w butach z długiemi cholewami.

Pijał prostą siwuchę, która nabierała zalet przez zaprawienie imbierem lub przez nalanie na piołun, tarki, jarzębinę, czy na zielone łupiny włoskich orzechów. Jeżeli do Krzepówki zajechali goście, Wyszmoński nastawiał na stół parę butelek wina, którego garniec kosztował dziesięć złotych.

Rosół, sztuka mięsa z ćwikłą, pieczeń huzarska z kapustą — stanowiły ulubiony obiad, którym się pan Piotr zajadał punkt o dwunastej godzinie, a potem szedł na półgodzinną drzemkę.

Rano o piątej wypijał codziennie mniej więcej kwartę białej kawy, zjadał prawie pół bułki chleba pytlowego z masłem i wyruszał do gospodarstwa, łażąc po wszystkich kątach, klnąc i gderając na służbę. Na kolację w lecie jadł w dużej ilości mleko kwaśne z kartoflami, a w zimie — zacierkę na mleku, lub na wodzie ze skwarkami.

Czerwony, cokolwiek ospowaty na twarzy, blondyn, z łagodnemi niebieskiemi oczyma, był zawsze zdrów jak rydz; nadzwyczajnie czynna energja nie pozwala mu ani chorować, ani utyć. Służba i chłopi poddani bali się go jak ognia, bo za najmniejsze przewinienie sam bił, lub bić kazał batem. Sąsiedzi mówili, że u Wyszmońskiego w Krzepówku jest „dobra szkoła dla *ludzi*.“

Do pomocy w gospodarstwie trzymał pan Piotr ekonominę, człowieka chudego i wysokiego jak tyka, niejakiego Cudowskiego, którego, nawet w przystępie gniewu, nazywał pieszczotliwie Cudosiem, mówiąc naprzykład;

— Cóż ty Cudosiu, panie bdziu, sobie myślisz, gałganie jakiś, świniarzu!..

Cudosio ubierał się zawsze w łachmany, gdyż dziedzic nie lubił elegancji, przed panem wystawał z czapką w garści i z opuszczonym na dół batogiem, a co chwila powtarzał; „sługa pana dziedzica.“

Powiadano, że ten oficjalista na noc do poduszki zawsze się spajał; ale, że przez cały dzień był trzeźwy i czynny, przeto pan Piotr przez szpary patrzył na owo pijaństwo i mówił:

— A co mi to, panie bdziu, szkodzi, że gałgan pije, kiedy swoje robi?

W kuchni kucharka, poduczona przez samą panią, gotowała dla dworu, jako też i dla czeladzi; w pokojach służbę pełniły zwyczajne dziewki ze wsi, a tylko do obsługi pana starszego i panicza był czternastoletni chłopak Szymek.

Na stajni nie było żadnych koni cugowych tylko cztery mierzyny, które wraz z innemi końmi fornalskiemi woziły snopki i chodziły w pługu, służyły jednocześnie i do wyjazdu dziedzica lub dziedziczki. Ale pod wierzch do objazdu gospodarstwa, a niekiedy i do polowania z chartami miał Wyszmoński klaczkę kasztanowatą, coś lepszego. Stangretem był prosty parobek, który się ubierał w sukmanę, jak wszyscy inni chłopi.

Gospodarstwo w Krzepówku szło niby machina z nieubłaganą prawidłowością. W porę wywożono nawóz, w porę zaorano, obsiano i zebrano z pola. Po omłocie, z którym się tu nigdy nie spieszono, pojawił się niejaki Abramek, izraelita z Krakowa; zajeżdżał on cicho na skromnej furce, powożony przez młodego szajgeca, stawał pod stodołami, brał bicz w rękę dla obrony od psów i pieszo dochodził do dworu. W sieni zostawiał czapkę i tylko w krymce stawał przed panem Piotrem.

Abramek nosił na sobie czarny prunelowy chałat, pod kaszkietem miał aksamitną krymkę na samym wierzchu głowy, a po bokach około uszu spadały mu dwa siwiejące już pejsy, skręcone w loki.

Przywoził zwykle w prezencie dla pani Wyszmońskiej głowę cukru, paczkę rodzynków sułtańskich i drugą migdałów, a dla pana dziedzica pudełko cygar; był to zwyczaj uświęcony w Krzepówku przez tradycję. Złożywszy na wstępie dary owe Abramek, nim począł traktować o kupno zboża, musiał długo opowiadać, jakie gdzie były urodzaje, jak się zapowiada rok przyszły, co za ceny zboża są w Gdańsku, a jakie na Węgrzech. Dopiero potem robiono ustny układ o cenę i dostawę; kupiec kładł z góry pieniądze na stół, pan Pio

trzykrotnie je liczył i chował do biurka. Abramek był pewny, że, jak amen w pacierzu, fornalki z Krzepówka na oznaczony dzień najniezawodniej dostawią mu zboże na komorę Baran.

— No, daj tam jeszcze, panie bdziu, Cudosiowi parę złotych w łapę, żeby ci za mocno nie strychował! — mówił na zakończenie Wyszmoński.

Ale bywało i tak, że Abramek nie mógł się zgodzić z panem Piotrem na cenę i chodziło o jakie dziesięć, albo i sześć groszy na korcu; szlachcic się uparł i nie chciał ustąpić. Wtedy kupiec przerywał targ i zaczynał z innej beczki:

— Cesarz austrjacki — mówił — gotuje się na włocha, a włochowi, powiadają, ma pomagać francuz...

— Toby niby wojna była?

— A wojna, wojna! Rekruta biorą precz...

— Biorą? Patrzaj, panie bdziu! Jakże ty myślisz, Abramek? poradzi włoch z francuzem austryjakowi?

— Żydki powiadają, co poradzi, oni mówią, co ten francuz okrutnie się bić lubi.

Wyszmoński się zamyślił, a po chwili zapytał;

— Dużo rekruta wzięli?

— Aj waj! Żeby wielmożny pan wiedział jaki lament był w przeszłym tygodniu na Kazimierzu!... To tam czterdziestu żydków wzięli w żołnierze, a chwała Bogu, co dwa razy tyle onych uciekło...

— Tfu, do kroćset djabłów, panie bdziu! — krzyknął pan Piotr, z furją zrywając się z krzesła. — A cóż ten Austrjak oszalał, czy co? Żydami, panie bdziu, chce zwyciężyć francuza?... Co za żołnierz z żyda, powiedz sam Abramku! Tybyś się bił z francuzem, panie bdziu?.. Niechbym ja tu wystrzelił w powietrze, panie bdziu, ciebie już nie ma — prawda?...

— Nu, niech pan Bóg uchowa! Po co taki dobry pan ma strzelać?... Ludzie powiadają co żydki w wojsku dobre do kapeli...

— Aaa, na muzykantów, co innego! Niech sobie będą, panie bdziu! Nie mam nic, panie bdziu, przeciw temu!... Owszem! Więc wojna powiadasz z włochem i francuzem?... Fiu fiu, panie bdziu!

— Ny, jak wojna będzie, to co dobrego dla wielmożnego pana? Im się dobrze bić, a zboże w cenie spadnie; wielmożny pan straci i kupiec nie zarobi... Aj waj, po co wojna?

Kiedy po takiej rozmowie dwaj kontraktujący znowu wrócili do układów o cenę zboża, Wyszmoński był zwykle już miększy i ustępował te dziesięć czy sześć groszy na korcu.

Abramek wracał potem do swego wózka, dobywał z siedzenia parę butelek rumu i szedł do Cudowskiego, któremu wręczał rum, mówiąc:

— Panie rządco dobrodzieju, proszę pamiętać, niech mi też pszenicę dobrze doczyszczą.

Cudowski niby też to wahał się przyjąć podarunek, a robił taką minę, jakby chciał powiedzieć:

— Ja się mam starać o czystość pszenicy za tę parę butelek rumu?... Tak myślał, lecz w rzeczywistości ciężko wzdychał i chciwie patrząc kupcowi na ręce, mówił:

— Oj, źle na świecie, źle, panie kupiec!... Bieda, psiakrew, aż kwiczy! Szlachta, szelmy, skrobigarki! Oficjalista pożywić się przy nich nie może, takie to chciwe!... Z czego tu żyć?... Patrzno pan, w jakich ja to łachach chodzę!.. Choćby i ta pszenica, coś ją kupiec dziś kupił, byłaby to, żeby nie Cudowski!... Cóż mi z tego?

Domyślał się Abramek, o co chodzi i wzdychającemu ekonomowi przy pożegnaniu wsuwał w rękę srebrnego guldena. Cokolwiek uspokojony Cudowski szedł ku gumnu do gospodarstwa, a pod nosem mruczał:

— Czy i to także nie szlachcic? Czapkować muszę, mówię: „Słucham łaski pana dziedzica", ale sobie w duszy myślę: „Złodzieju jeden, krew moją pijesz"!... Widzi gałgan, że wszystko ze mnie leci, żeby też kiedy kapotę jaką podarował!... Nie!... On się ze mną opłatkiem na wigilię łamie, a na Wielkanoc się jajkami trącamy... Wielka mi łaska! Gdzieindziej oficjalista dostaje parę garncy okowitki..

— Cudosiu, panie bdziu, łazisz, świniarzu jeden, jak nie na swoich nogach, a w stodołach kradną! Co to za dziewka idzie tam z koszem zgonin? — odezwał się nagle pan Piotr tuż za plecami ekonoma.

I Cudowski się porwał, pobiegł pośpiesznie za dziewką, aby jej kosz zrewidować, a może i skórę spisać batem...

Po kolacji, gdy się Wyszmoński spać położył, miał sen, w którym widział, jak ogromny austrjak w ubraniu szpicla chodził i zabijał francuzów. Pan Piotr nie mógł już wytrzymać i krzyknął: „Panowie Francuzi, cóżto jednemu szwabowi się dacie!"... A krzyknął głosem tak strasznym, że przebudził żonę.

— Takie duże i twarde kluski każe sobie robić, a potem ma gorączkę... Na kolację powinno się jeść lekką zacierkę. O, Boże, odwróć-że też odemnie nieszczęście! — mówiła zbudzona pani Piotrowa, przewracając się na swojem łóżku.

Przez wiele lat kupował Abramek zboże w Krzepówku; nareszcie umarł i jednego roku o zwykłej porze zgłosił się do pana Piotra syn owego kupca. Zajechał przed sam dwór na porządnym malowanym wózku, w parę dobrych koni, na karkach których płonęły czerwone platy u chomąt.

Wyszmoński myślał, że to gość jaki z okolicy, pośpiesznie więc wybiegł do sieni. Przybyły zrzucił właśnie ze siebie suty paltot i tak mówił:

— Jestem Samuel Goldgard; firmę handlu zbożem objąłem po ojcu mym, Abrahamie Goldgardzie i mocno sobie życzę utrzymać stosunki z klijentami, do których też i pana dobrodzieja zaliczam.

To rzekłszy, ukłonił się raz i drugi, a z ruchu rąk jego widać było, iż wyczekuje, aż mu gospodarz poda rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z ruchu literackiego.

Władysław Mickiewicz: »Żywot Adama Mickiewicza“. Poznań tom I. 1890, tom II. 1892 (tom III. pod prasą).

Rzadko której dostaje się tak zasłużenie nagroda konkursowa, jak niniejszej książce. W formie prostej, ale szlachetnej opowiada syn poety dzieje iście kapłańskiego żywota Adama, oświetlając głównie stronę patrjotyczną twórcy „Dziadów“ i „Ksiąg Pielgrzymstwa“, którą w monografji Dr. Chmielowskiego albo zupełnie pominięto, albo, co gorsza, naginać musiano do wymagań cenzury. Trudno żądać od starca nowszej metody krytycznej w korzystaniu z materjałów, które zresztą same za siebie mówią, trudniej jeszcze zamilknąć uczuciom synowskim wobec takiego ojca; poza temi jednak ujemnemi niejednokrotnie właściwościami, celuje dzieło Władysława Mickiewicza głównie bogactwem treści, po raz pierwszy na jaw wydobytej z papierów prywatnych, od lat kilkudziesięciu skrzętnie gromadzonych przez autora. Gdy dodamy do tego wykład jasny, przejrzystą kompozycję i patrjotyczne stanowisko autora, rzucającego śmiało rękawicę przedstawicielstwu straży pożarnej (St. Tarnowskiemu i Wł. Spasowiczowi), wyliczyliśmy, zdaje się, wszystkie zalety dzieła, którego końca wyczekują literaci z niecierpliwością.

Ola Hansson: „Młoda Skandynawia“. Szkice literackie. Warszawa, nakładem T. Paprockiego, 1893.

W kilku, iskrzących się blaskiem poezji szkicach, podejmuje Ola Hansson charakterystykę najświeższych prądów literackich w Skandynawji. O ile trzy sylwetki, duńczyka, I. P. Jakobsena, szweda, Aug. Strindberga i norwegczyka, Arn. Gaborga są prawdziwe, trudno nam, zbyt oddalonym od pięknej literatury Północy, orzec stanowczo. Natomiast wobec dwóch szkiców natury ogólniejszej, p. t. „Nowe Prądy“ i „Materjalizm w literaturze“, można zająć stanowisko krytyczne. Hansson jest przeciwnikiem materjalizmu w filozofji i kierunku naturalistycznego w literaturze dla tego, ponieważ nie uwzględniają, zdaniem jego, osobowości czyli podmiotowości. Jeżeli jednak w podchwytywaniu ujemnych stron przedstawicieli nowego kierunku (Zoli, Ibsena, Taine'a, Brandesa i t. p.) ma niekiedy słuszność, to w własnym programie jest równie chaotycznym, jak symboliści francuscy, bijący z innego stanowiska taranem o mury materjalizmu

---

„A kiedy ono nie takie“, studjum z natury, przez **Juljana Morosza.** Warszawa. Nakładem redakcji *Głosu*, 1892.

Przed nami rozgrywa się jeden z krwawych, choć starannie ukrywanych, dramatów rodzinnych. Oto matka upośledza jedną córkę, od natury pokrzywdzoną, na korzyść drugiej, pięknej, ale moralnie brzydkiej, a skutki tego wychowania odbijają się kainowem echem w całem życiu rodzinnem i prowadzą je nad brzeg przepaści.

W intencji (niedawno zmarłej) autorki, ukrywającej się pod pseudonimem*), leżał atak na tyranję w rodzinie, o której powiedział Heine, że „jest największem błogosławieństwem niebios, jeżeli tylko nie jest największem przekleństwem“. W wykonaniu jednak, rozbija się ten szlachetny pomysł o słabe siły artystyczne autorki, ujawniające się w zbyt jaskrawem nakładaniu barw, w rozwlekłości i tym podobnych błędach, wynikających z braku wprawy raczej, niż talentu.

„Przedświt“ nr. 1. pismo dla kobiet pod literackiem kierownictwem panny Janiny Sedlaczkównej, opuściło przed kilku dniami prasę.

Każdy początek jest trudny, to też pojmujemy, że redakcja *Przedświtu* nie mogła stanąć od razu na stanowisku, któreby odpowiadało w zupełności zadaniu pisma dla kobiet, zwłaszcza, że nie potrafiła odczuć potrzeby, w jakim kierunku je prowadzić należy. Czy redakcji uda się skupić około siebie choćby nieliczne, lecz silne wolą, grono kobiet, któreby wprowadziło pismo na należyte tory i czy uda się zdobyć należytą ilość prenumeratorów, aby się utrzymać mogło, zależeć będzie od samej redakcji, czyli raczej od programu, jaki sobie redakcja wytknie, jeżeli nasze zdanie mielibyśmy w tej sprawie objawić, to zdaje nam się, iż wśród naszych stosunków mogłoby liczyć na powodzenie tylko takie pismo dla kobiet, któreby postawiło w programie swoim: równouprawnienie kobiet, stało na wysokości naukowej, poruszając i rozbierając społeczne stanowisko kobiet i zadanie ich, zaznajomiało ich dokładnie z ruchem kobiecym za granicą, zajęło się kobietą ludu wiejskiego, kobietą-robotnicą i t. p.

Pismo o takiem programie znalazłoby nietylko szerokie pole do działania, oddałoby nietylko prawdziwe usługi sprawie kobiecej, ale i w ogóle szeregom prawdziwie postępowym, u nas jeszcze nie tak licznym, jakby sobie życzyć należało. Taki zaś program, jakiego się myśli trzymać redakcja *Przedświtu*, zapowiadając w słowie wstępnem „Od Redakcji“, że będzie się zajmować pedagogją, estetyką, gospodarstwem domowem i przemysłem kobiecym — zdaniem naszem — jest jałowym. Mamy pisma fachowe, które dostatecznie potrafią zaspokoić żądania i wymogi kobiet w tym względzie, na cóż więc powiększać liczbę tych pism, zwłaszcza, że można z góry przewidzieć, iż *Przedświt* nie potrafi im dorównać w tym względzie. Szerszy zakres działania, pole o wiele wdzięczniejsze i może bardziej wymagające uprawy, jak estetyka, gospodarstwo domowe i t. p. wskazaliśmy — rzeczą redakcji jest wybierać między programami.

Pierwszy numer przedstawia się dość skromnie i nic właściwie jeszcze nie mówi. Podzielony jest na działy: pedagogika, belletrystyka i poezja, gospodarstwo i przemysł, literatura i sztuka, a wreszcie dział: Ze stowarzyszeń. Djablików zecerskich dosyć i one też zepsuły nader piękny wierszyk Marji Konopnickiej p. t. „Przygrywka“, w którym zamiast „arfy Derwida“ figuruje stale „arfa Dermida“. *E. Br.*

---

*) Celina z Wołowskich Gładkowska.